Senne dni w deszczowym Diu już za nami. Miało być plażowanie, kąpiele w morzu i błogie nicnierobienie, ale niestety monsun miał wobec nas inne plany no i skończyło się na robieniu prania i spacerach pod parasolem. Całe szczęście jak to my, kierujemy się już w nowe miejsce, a mianowicie do Ahmedabadu, największego miasta Gujaratu. W swoim ogromie zaskoczyło nas przytulnością i niezwykłą czystością. Co ważne, pełne jest miejsc, które absolutnie trzeba zobaczyć. Ranek upłynął nam na kontemplacji w przepięknej dżinijskiej świątyni. Chyba wszystkim nam udzieliło się wyciszenie modlących się tutaj osób. Obserwowaliśmy kobiety składające w darze ryż guru, oddanie, z jakim namaszczały brązowe posągi olejkami żeby później udekorować je biżuterią. Wdychając ostry zapach kadzideł pomieszany ze świeżymi kwiatami wsłuchiwaliśmy się w jednostajną melodię mantr, a atmosfera przepełniona była spokojem i skupieniem. Z powodu braku czasu nie mieliśmy wystarczająco dużo czasu aby całkowicie jej się oddać i wszyscy żałowaliśmy nie mogąc spędzić jeszcze tych kilku chwil pośród modlących się dżinistów. Ze świątyni udaliśmy się jednak do miejsca równie sprzyjającemu wewnętrznemu rozwojowi, mieliśmy bowiem okazję zobaczyć jeden z aśramów Gandhiego, przepełnionego jego mądrymi słowami, zdjęciami i rzeczami osobistymi. Usiąść nad rzeką Sabarmati, tam, gdzie niegdyś zasiadał sam Bapu, było przeżyciem nadzwyczaj wyjątkowym. Miejsca takie jak te sprzyjają skupieniu rozproszonych codziennością myśli. Po wymianie spostrzeżeń na temat aśramu jak i samego Gandhiego, obejrzeliśmy jeszcze z zewnątrz dwa meczety oraz pojechaliśmy nad jezioro Karnataka. Ostatnia noc w naszym pierwszorzędnym hotelu (to aż dziwne wykąpać się pod ciepłą wodą) i na drugi dzień z samego rana wyruszamy na pociąg do Hubli. 26 godzin w podróży może wydawać się wiecznością, ale w gruncie rzeczy wielu z nas pokochało jazdę pociągami. To zdecydowanie najlepszy sposób na zwiedzanie Indii. Trzeba jedynie przeprosić się z wszechobecnym brudem, ze stopami sąsiadujących pasażerów, które nagle w środku nocy człowiek znajduje pięć centymetrów od swojej twarzy? Trzeba polubić sprzedawców budzących nas rano skrzeczącym okrzykiem „chai!chai!”, cisnących się korytarzem ludzi, dzieci żebrzące o jałmużnę na stacjach. Przez zakratowane, niebieskie okna można podziwiać zmieniający się indyjski krajobraz, a podróż często urozmaica pogawędka z sąsiadem z kuszetki obok. Kolejna ludzka historia, poznanie czyjegoś istnienia i spotkanie, które kończy się wraz z dojechaniem na właściwą stację. Pociągi rządzą.

Świątynię dżinijską należy zwiedzać zgodnie z „mądrością czasu” (ang. clockwise – zgodnie z ruchem wskazówek zegara).

Było tam to, czego wielu z nas szukało do samego początku. Duchowość, którą w gruncie rzeczy podszyte są brudne ulice, którą noszą w sobie żyjący na niej żebracy.

Ta dżinijska świątynia była jakby małymi drzwiczkami, przez które wpadliśmy do krainy czasów rozciągniętej pod całym indyjskim światem. Choć czy wpadliśmy? A może tylko zajrzeliśmy nieśmiało. W centralnej części świątyni woń kadzideł i muzyka kazały nam usiąść choćby na chwilę. Zatrzymać się. Przede mną kobieta ułożyła na stoliku przedmioty, które niewątpliwie miały swoje miejsce w rytuale i swoje znaczenie. Jednak nie byłam wtajemniczona, nie wiedziałam, subtelnie wyobcowana, tak samo nie rozumiejąc słowa z tego co kobieta śpiewała, skłaniając głową klękając albo bujając się, ale było to miłe wyobcowanie, bo wciąż czułam się jak gość, nie intruz.

Przewiązani szatami kapłani (pięknie wyglądali) składali ofiary marmurowym bogom ze szklanymi przejmującymi oczami, które od dawna wszystko wiedzą. Tu było wszystko, czego trzeba nam było.
Świątynia była równocześnie remontowana, czy ozdabiana przez młodych ludzi siedzących na zewnątrz na rusztowaniach przy ścianie świątyni, zaglądających do środka. Uśmiechali się do nas. Wyjrzałam na inne zewnątrz, gdzie w zadaszonej otwartej na dziedziniec części odbywało się właśnie nabożeństwo. Przed oczami mignęły mi świeże kolorowe owoce – ofiara oraz gest polewania figury bóstwa mlekiem albo wodą.

W jednej chwili mija nas wiele ton bezładnej masy pociągu z naprzeciwka, kolejne wagony z potencjalnie niszczycielską siłą, w następnej już zwalniamy w okolicach zielonych równin. Rośnie tam tak soczysta trawa jak w Polsce. Krowy inne.

Pola ryżowe. Kwadraty wody, w których z prędkością naszego pociągu przemieszcza się niebo. I odbicie czarnych pni na grobli. Ludzie z koszami na głowach. I już nas tu nie ma.

Słowem, tyle miejsc, w których można by postawić stopę, ale to wszystko jeszcze nie dziś. Na razie 24 godziny w pociągu. Tylko oko podróżuje, nieustannie.

Sprzedawca herbaty śpiewa sekwencję „Czajajajczajpijuczajpijuczaj”, po czym rytmicznie robi przerwę stając w pół kroku i palcem wskazując najbliżej znajdującą się w tym momencie osobę z pytającym spojrzeniem. Raz dwa trzy baba jaga pa-trzy. Co sekundę ktoś próbuje mi coś sprzedać. Jeden człowiek zamiótł podłogę, skurczony w obracającą się w kuckach kulkę, dotknął mnie w kolano prosząc o pieniądze. Co to są te pieniądze? Każdy ich chce.

Jakiś facet ogląda bollywood na swoim Samsungu Galaxy. Mijamy slumsy przy torach. Koleżanka leży na pryczy przeglądając „Cosmopolitan”.

Dziwny jest ten świat.